

Spektakl odwołany

W „Kronosie” Krzysztofa Garbaczewskiego niemal wszystko jest nudne, do bólu banalne, często zgrzytające w uszach grafomanią. Poirytowany widz zostaje z pytaniem: po co mam tego słuchać?

Magda Piekarska

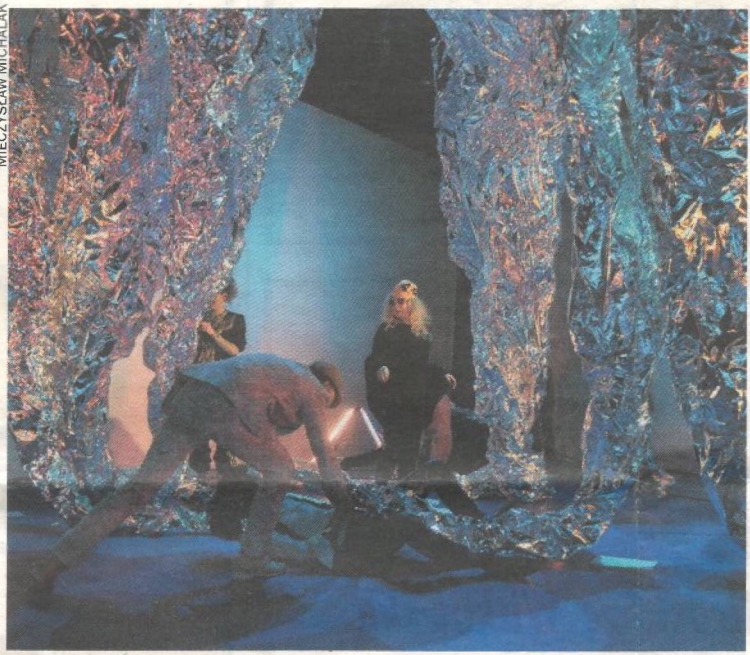
Podczas premiery „Kronosa” w Teatrze Polskim we Wrocławiu reżyser Bogusław Litwiniec wziął sobie do serca sceniczny bunt aktora Adama Szczyszczaja wobec formuły spektaklu. I wygłosił do widowni apel o ratunek dla sceny, po czym wyszedł, trzaskając drzwiami.

Były też wyjścia mniej spektakularne - część publiczności skorzystała z pretekstu, jaki stworzyła techniczna przerwa spowodowana awarią sprzętu. Inni, jak Wanda Ziembicka, głośno komentowali intymne zwierzenia płynące ze sceny, ironicznie domagając się własnego w nich udziału, który mógłby uratować tę narrację przed miałością.

Napięcie jak przed premierą oryginalnego „Kronosa”

Przedstawienie Krzysztofa Garbaczewskiego wywołało na widowni konsternację, powtarzając w idealnym stopniu mechanizm, jaki towarzyszył premierze Gombrowiczowskiego „Kronosa”. Ta pierwsza premiera, oczekiwana z niecierpliwością, podsycana przez promocyjną strategię wydawnictwa i utrzymane w sensacyjnym tonie prasowe zapowiedzi, wywołała osłupienie dużej grupy czytelników. I skutecznie wytrąciła z równowagi także część wytrawnych krytyków.

Tamten „Kronos”, zamiast literackiego zaginionego dzieła albo sekretnego dziennika utrzymanego w tonie intymnego zwierzenia, satysfakcjonującego dla podglądaczy, przyniósł drobniarową buchalterię z życia. Zapiski, w których objawiać miał nam się Gombrowicz „szczerzy aż do bólu”, okazały się prowadzonym ze skrupulatnością księgowego wykazem spotkań z ludźmi, przeczytanych książek, przebytých chorób, zarobionych pieniędzy i erotycznych podbojów, podsumowywanym wieńczącym każdy rok saldem z podziałem na „winię” i „ma”. Literackie kuriozum, humbug - to tylko niektóre z określeń, jakie padały przy tej okazji, obnażając czytelniczą



„Kronos” na deskach Teatru Polskiego we Wrocławiu

bezradność wobec tych zapisków. I zdumienie - także wobec faktu, że to właśnie ten rękopis miał dla autora wartość najcenniejszą.

Teatralnemu „Kronosowi” towarzyszył podobny promocyjny rozmach - mówiło się o światowej prapremierze zapisków Gombrowicza, namawiało się znanych wrocławian do publicznej lektury fragmentów jego dzieł. To odniosło skutek - podczas premierowego spektaklu duża scena Polskiego była wypełniona niemalże do ostatniego miejsca. Tyle że w przestrzeni spektaklu Gombrowiczowski „Kronos” skurczył się do paska na ekranie, na którym - w pierwszej części przedstawienia - wyświetlano fragmenty utworu. Cała reszta została - jeśli chodzi o tekst - uszyta z kilkunastu narracji, napisanych na potrzeby spektaklu przez biorących w nim udział aktorów. I robota, który przez całe przedstawienie kaligrafował swoją własną mantrę o pamięci na kolejnych kartkach papieru, wyrywanych mu z coraz to większą brutalnością przez sekretarkę-asystentkę.

„Urzekła mnie twoja historia” albo seans psychoterapii

Gombrowicz stał się tu zaledwie pretekstem do refleksji o pamięci, o rejestrowaniu życia, spisywaniu wspomnień, tworzeniu prywatnych narracji. Refleksją gorzką, bo zawierającą w sobie przekonanie o ich rozpaczliwej zbędności we współczesnym chaosie, na który składają się miliony podobnych relacji.

O ile z Gombrowiczowskim „Kronosem” poradzić sobie można stosunkowo łatwo, wpasowując zebrane w nim notatki w biografię i twórczość autora, to co na Boga milego zrobić ma odbiorca spektaklu z wstrząsająco szczerym wyznaniem Adama Cywki, którego znał do tej pory wyłącznie ze sceny Polskiego, na której wchodził w skórę innych postaci? Przyznam, że podczas tego monologu, dramatycznie z pewnością napisanego, czułam największy dyskomfort. Intymne zwierzenie wygłoszone przed kilkusetosobową widownią automatycznie uległo

banalizacji - zamieniło się w show w rodzaju „Urzekła mnie twoja historia” albo publiczny seans psychoterapii. Tylko gdzie w tym czasie był psychoterapeuta, który powinien ubezpieczać swoich pacjentów? Jeśli był nim reżyser, to schował się za historiami aktorów.

Garbaczewski zbudował z tych narracji poszarpaną, nierówną całość bez gotowej recepty. Wydaje się wręcz, że świadomie obnaża własną bezradność wobec tej chaotycznej polifonii, zwątpienie czy asekurację.

„Kronos” rozpoczyna wyświetlony na żelaznej kurtynie napis „spektakl odwołany”. Potem na tej samej kurtynie oglądamy obraz tego, co dzieje się po jej drugiej stronie. W samym środku wielkiego elektronicznego mózgu, monstrualnego twardego dysku, sterującego zbiorową pamięcią nas wszystkich pracują niestrudzenie laboranci, wycinając z naszych głów to, co uznają za stosowne (można się domyślić, że to z tych skrawków scenografka Aleksandra Wasilkowska buduje swoje połyskujące efektownie stożki pamięci). O tym, co przetrwa, nie decyduje żadna wyższa prawidłowość czy zbiór zasad. To raczej kaprys podobny do tego, który zwiększa liczbę kliknięć na Facebooku czy YouTube. Nic tu nie daje gwarancji ocalenia.

I na nic się zda nasza zapobiegliwość - kiedy Marta Zięba przychodzi z pudłem zapisanych, sfilmowanych i nagranych wspomnień, słyszy od tych upiornych archiwistów: „Ale to jest nudne”, „To nic nas nie obchodzi”. W wyścigu na klikalność zapis jej marzeń o alternatywnym życiorysie musi przegrać z historią erotycznych podbojów recytowaną przez Sylwię Boroń, bezwzględna uwodząciela, wyznającą zasadę, według której w walce kobiet z kobietami zawsze wygrywają - młodsze i piękniejsze - dziewczęta.

Po co to wszystko, dlaczego mam tego wysłuchiwać?

Tak naprawdę jednak niemal wszystko to jest nudne, do bólu banalne, w dodatku często zgrzytające

w uszach grafomanią. A także obliczone na zmęczenie widza. Bo to, że w finale samowolnie nie opuszcza widowni podczas monologu Wojciecha Ziemiańskiego jest wyłącznie winą kiepskiej decyzji obsadowej, która rujnuje założony z góry efekt - ten aktor jest zwyczajnie za dobry, mógłby recytować książkę telefoniczną, a i tak nikt nie ruszyłby się z miejsca. Więc ostatecznie musi nas do wyjścia sprowokować: „Was w ogóle to cokolwiek obchodzi? Chcecie tego słuchać?”.

I nic dziwnego, że po spektaklu pojawiają się pełne irytacji pytania: po co, dlaczego, w imię czego mam tego wszystkiego wysłuchiwać? Wywołuje je zresztą w swoim monologu Adam Szczyszczaj. I przeciwstawiając strategii kompulsywnego katalogowania wspomnień strategię kasowania, odcinania przeszłości, stawia jedno z ciekawszych pytań - czy taki prowadzony na bieżąco „Kronos” nie izoluje nas od życia, od przeżywania tego, co dzieje się tu i teraz?

Jego głos jest jednak osamotniony. Nie tylko na samej scenie. Bo trudno nie zauważyć, że została tu doprowadzona do rozmiarów karykatury ta eksplozja intymnych narracji, z którą mamy do czynienia na co dzień - wysłuchując i czytając zwierzeń celebrytów w telewizyjnych programach, kolorowych gazetach, plotkarskich portalach, czy dostając porcję newsów z życia osobistego dalszych i bliższych znajomych na Facebooku. W cyberzeczywistości ta granica została przekroczona, tyle że tam przed tym zderzeniem brutalnej szczerości z powtarzalnością banału chroni nas ekran komputera. Tutaj, kiedy znika żelazna kurtyna, stajemy z nim twarzą w twarz. Jeszcze bardziej bezradni. ●

„Kronos”, adaptacja sceniczna i reżyseria Krzysztof Garbaczewski, scenografia Aleksandra Wasilkowska, kostiumy Svenja Gassen, wideo Robert Mleczo, reżyseria światła Bartosz Nalazek, muzyka Julia Marcell, premiera 15 grudnia w Teatrze Polskim we Wrocławiu